

Krzysztof Koehler

Obce ciało

Wiersze z lat 1989-2019



ZE ŚW. AUGUSTYNA

*Człowiek osiąga pełnię harmonii wtedy,
kiedy nad wszelkimi innymi elementami jego natury panuje
i przewodzi ten pierwiastek, który wynosi go ponad zwierzęta.
św. Augustyn, „O wolnej woli”*

Drzewa. Błady cień słońca wśród gałęzi.
Podcięte dachem dwie wieże kościoła,
Z ulicy łoskot, czarne bryły wron, gruchanie gołębi.

Brudna pora. Roku. Śnieg czernieje,
Gałęzie groźnie przyszpilone
Do siniego nieba. Spokój wieży, wirujące skrzydła ptaków.

Zmienność i trwanie. Siedzę naprzeciwko okna,
Czekam na zielen, czytam Augustyna.
Delikatnie prószy śnieg. Otwierają mrok
Łuki romańskich okien.

Nic się nie zmieni. Przemija chwila,
Świat za oknem jaki jest taki będzie,
Brudna pora roku przeze mnie przejdzie.

Słońce krzyczące przez korony drzew i
Martwe chmury. Wieża podcięta dachem
Niezachwianie stoi. I drzewa.

Tak niepojęty i obecny świat.
Gość zaproszony do przedsionka domu
Wyrwę się kiedyś przemykając drzwi.

Wiersze

profesorowi T.U.

Nic nie uchroni przed niebytem;
Ni książek poszarżałych zgrzeźbne płótno,
Ni płyt nagrobnych marmur potrzaskany.

I pamięć zgaśnie jak świeca zdmuchnięta
Powiewem wiatru, który w ciepłe oko
Pokoju wpadłszy, jak jazda tatarska
Smaga powietrze.

Słucham co usta twoje cicho powtarzają,
Co gardła, co goryczą kawy przepłukana jama
Śpiewa i nie potrafię, mój mistrzu starawy,
Powstrzymać gniewu.

Lecz nie ocalę. W ślad stopy twej greckiej
Żałosne wkładam, wąż swoje nogi,
Tak jakbym stawał na odciskach wiecznych
Zbiegłemu bogu.

Przepaść nas dzieli. Mój język kaprawy
Dawno nie słyszał mowy Cyncerona,
Pozwól więc tylko, bym cieszyć się mógł –
Nim pamięć skona.

JAN WOLFGANG GOETHE W KRAKOWIE

Niewiele drzew. Parę topoli,
Jakiś klon. Budynki, błoto,
Deszcz, mgłę, dachy – to
Tylko pokochało wąskie okno

I cudotwórczy ręki gest: piekło
Hałasu lub po chwilowym trzasku
Święto jedni serca i ręki,
Papieru i stołu.

Jan Wolfgang. Goethe w Krakowie,
Zwiastun śmierci. Ot, żeby
Konie zmienić, bawić się widokiem
Straganów wśród wrzeszczącej czerni.

Pierwsze podjazdy stoją u bram
Miasta. Wre tłum. Szybkie są
Ręce złodziei. Korony nie dostanie.
Król Fryderyk.

Lecz jeszcze spokój. Wypala się dzień.
Kandelabr płonie w mrocznej sieni.
Poeta gładzi ręką smukły stół blat:
„W moim życiu już nic się nie zmieni”.

ST. SEBALD. NÜRNBERG

Wkroczyliśmy butnie w przepychu
Zmęczenia, które pełnym spojrzeniem
Zamieszkuje oko; oddech szelestem
Owionął sklepienia i suchy kaszel
Słów przeorał powietrze; opiewaliśmy
Piękność ram złożonych i szkieł
Kolorowych żywy blask; jak na wietrze nasze
Cienie się chwiały, burzące symetrię.
Katedra nie uczyła nas pokory,
W majestacie ciała, w pięknym
Ładzie rąk, osadzeniu głowy
Pozostawało tylko – porównanie –
Lekcja starych mistrzów średniowiecza:
Szum lasu, nieba dach, paląca się świeca
I wiedza jasna o mocy człowieka.

Umarła Rachel w drodze, prawie w wiosnę.
Długo nie chciała rodzić ziemia,
Słońce zniżało się i rosło,
Rzeźbiło kształty rzeczy z cienia.

Pąki na drzewach śliniąc się pęczniały
Nocami słyhać było kosi,
Skowronek wibrującym głosem
Wskrzesał rozległą toń niebiosów.

Rozstępowała się czarna i zetlała,
Butem rozbita tłusta i wilgotna,
I Pan niebiosów wkraczał osowiasty
W świat kielkujący zielonością.

O zmartwychwstaniu nie śpiewały kosi,
Ziemia rodziła bez pamięci, głupia.
Rachel kończyła wątłą żalu piosnkę,
I Anioł Śmierci oczy jej wyłupił.

ELEGIA NA UPADEK TYRANA

Znów tłum zwyciężył. Kruszą się
szybko przyczółki tyranii. Za Jasną
Bramę, przez straże, patrole i
wyniosłe wieżyczki obrotowych

działek czerń się wdziera
skandując: Szczur. Powietrze
wciąż jeszcze kaszle wystrzałami:
niekiedy – tępy pomruk – kanonada,

lecz częściej sypki trucht maszynowej
broni. Spadają głowy, lekko – jak
zaspana piękność – przeciągają się
liny pod czujnym okiem katów.

Maszerują plutony, broń do broni.
Któraż to już Wiosna Ludów?
Słońce wieku nieuchronnie zachodzi,
Więc ostatnia może

wzniesiona o piędź, nienawiść,
zbrodnię – wyżej – głowa?
Teraz lekko skłoniona w bok,
wydymająca wargi, już spokojna,

na czulej taśmie filmu, nad wjazdową
bramą, siwym poblaskiem świecąca
w oknach naszych domów.
Triumf, maska pośmiertna, świadectwo czy fakt

dokonany? Przesłuchanie czy znak tylko,
po prostu znak czasów,
niezdarny hołd złożony Klio –
dzikie epitafium starej Europie.

grudzień 1989

Dokąd świątynie chińskie i pagody,
I alegorie czterech roku pór
Na ścianach, a na plafonie zarys gór
I pulchne ciała kobiet. Fanfary.

Matowy zapach wosku i wąska
Stróżka słońca przez wizjery futryn,
Mknące piruety amorków.
Tulczyn, Niemirów, Wersal – nieprzespany sen.

To inna pora. Tutaj drzemie śmiech.
Perlister dzwonki klawikordów, peruki,
Pieprzyki, alejkami bieg szalony
I z Mozarta dźwięk.

To liczby kwestia, sumowania.
Matematyki i rozkładu siła.
Poeta palcem sylaby wybija,
Chwali bieg czasu i wino popija.

III.

Błądziłem po parku. Dotykałem rzeźb.
Badałem wody z fontann smak.
Zgubiłem miarę. Dzwon przechodził w śpiew.
Słuchałem dzwonów.

Zgubiłem miarę. Zbyt niespójny rytm.
Sypałem w palcach gruz i pył,
widziałem gruz i pył, i śmierć,
Nieustający wody bieg.

Zbyt cichy dźwięk. Zbyt lekka serca
Mowa. Utonął rytm.
Wiosna sypała płowa
Kwiatów ognisty deszcz.

Nieudana pielgrzymka

Ja jestem tylko obraz.
Twój pokorny sługa.
Ty przemawiaj siło.
Ja jestem wędzidło twoje,
Przeznaczenie, abyś
się spełniła.

Księżyc. Jęczmień.
Świerszcze. Ile
błyskawic jeszcze?

Ile wschodów?
Pod górę wiodą
drogi.

I to zupełnie ślepe
jeszcze wygasanie
powodów.